



Mananasoko *Uwaga kanibalizm* Ucho 2009

Poważny problem

W Sopocie jest chłopak. Gra na skrzypcach i śpiewa raczej wysoko – jedno i drugie przetwarza elektronicznie. Na osiemnastominutowej płycie nad żywołem pomógł mu zapanować producent Piotr Pawlak. Maciej Wojnicki wie, co robi, jest charakterystyczny od A do Z. Gdy w dwóch skrajnych kompozycjach (*Uwaga* i *Kanibalizm*) maluje bez słów obraz miłości aż po grób, czyni to sztuczkami unurzany w krwi ukochanej osoby, tak naturalnie, że słuchając tego wrażliwy człowiek odczuwa głód – miłości.

Otwierające zestaw *Uwaga* wylania się z klików, cięć, piknięć, trzasków... i do końca twardo na nich stoi. W drugiej części długim, pełnym dźwiękiem wjeżdżają skrzypce plus goszczący na płycie kontrabasista Olo Walicki. Dyscyplina, rytm, powtarzalność. Jak w *Tangu* Zbigniewa Rybczyńskiego, przez pokój Mananasoko przewija się coraz więcej motywów, ale te pierwsze wciąż tam są, tak samo ważne. Wojnicki milczy. Zaczyna operować głosem dopiero w drugim na płycie *Wolniej*. Autotune'owany (a może nie) wokal podpira marimbą i wibrafonem Pawła Nowickiego znanego z Pink Freud, Kobiet i Kwartludium. Zapęta dźwięki zagrane przez siebie na skrzypcach, mocno przetwarza swój śpiew, doклада rytm. W następnym *Ja mam a ty nie* Wojnicki poetyzuje: *Ja mam poważny problem, gdybym nie miała, to bym się tak nie zachowywała...* – powtarza dramatycznym głosem, mógłby z tą barwą śmiało dołączyć do Boyz II Men. Podkład minimalny, wyciszony, ciepłe skrzypce wsuwają się pod wokal, namolnie i kiczowato jak u Sigur Ros, ale u Mananasoko jest to przęgite sprawniej – tak uroczo, tak po kozacku bezkompromisowo, że Islandia nie ma podjazdu. Na początku *Inne byłyby nudne* podkład jest gęstszy, bardziej intensywny, „znowu brakuje na czynsz”, dzieje się dramat. Ruchome piaski, ziemia usuwa się spod nóg, stopy odpadają od lydek. Przedstawienie trwa. Sekwencja elektronicznych dźwięków jest powtórzona dziesiątki razy, rośnie wciąż od nowa, klimat się robi coraz bardziej zawieszony, skrzypce są piłowane w kilku ścieżkach. I to działa. *Ciągle tyle czasu trzeba przewalić, aby cokolwiek zrozumieć*, artysta lubi powtarzać frazy. A do słów ma talent. Wydaje mi się, że ta epka rozpoznawcza Mananasoko przynosi taką odmianę w stosunku do mainstreamu, utwory na tyle urozmaicone, że nie może nudzić. Poza tym jest krótka. *Poproszę od początku, ale trochę wolniej*.

Jacek ŚWIADER



Pawilon *Moda na sukces* Biodro 2010

Wymaga poświęceń

Dawno już nie dałem żadnej polskiej płycie tyłu szans, co drugiemu albumowi trójmiejskiego Pawilonu. Niewykluczone, że zachęcił mnie do tego gruby plik materiałów promocyjnych przysłanych przez label Tymona Tymańskiego, tak jakby właśnie w Pawilonie upatrywał on kandydatów na zbawców krajowego rocka. Miałem też umiarkowanie pozytywne wspomnienia z odsłuchu ich debiutanckiego materiału z 2008 roku *Retromantik*. W każdym razie katowałem *Modę na sukces* przez bity miesiąc, słuchając tej płytki w różnych formach, konfiguracjach, przy różnych poziomach głośności, stanach skupienia i trzeźwości. I co? Nadal nie pamiętam z tej płyty ani jednej melodii, ani jednego tytułu, nic poza ogólnie zdefiniowanym gitarowo-transowo-popowym klimatem. Nie odmawiam tej płycie wartościowych elementów. Ale są to przeważnie wyizolowane motywy, rozrzucone po całej długości krążka, zbyt od siebie odległe, żeby składały się na choć jedną powalającą piosenkę. Zamiast całościowego zachwyty, moje słuchanie *Mody na sukces* wygląda tak: w jednym utworze podoba mi się tekst, w drugim krótkie złamanie melodii w zwrotce, w trzecim krautrockowa motoryka. Przyjmuję do wiadomości, że gracie panowie piosenki, w których są melodie. Szkoda, że miłość do nich musi wymagać tyłu poświęceń. Wydaje mi się też, że słyszeliście o takich grupach jak Sonic Youth, Spoon czy Kobiety. I chcecie być jak oni – fajnym, gitarowo-popowym zespołem, pozwalającym sobie na nie do końca radioprzyjazne piosenki. Ale poza fascynacją avant-rockowo brzmiącymi piosenkami prosiłbym o choć jedną rozklejającą kombinację akordów w stylu *Incinerate*, *Sister Jack* albo *Promienia*. Podobają mi się teksty Mateusza Szulca (choć z kolei ciężko mi szaleć za jego wokalem). W przeciwieństwie do debiutu nie ma tu najmniejszej spinki na publicystykę. To w ogóle nie są teksty o czymś konkretnym, natomiast dawka pesymizmu zabijanego ironią jest w nich potężna. I z rzadka, jeśli te liryki trafiają na dobrą melodię (tak jak w obu częściach *Lekkości*) zyskują moc. Optymistyczny scenariusz mojej relacji z *Modą na sukces* zakładałby, że do czynienia miałem z klasycznym growerem, albumem, którego doskonałość olśni mnie po odpowiednim okresie karencji na półce z niesłuchanymi płytami. Ale nie wierzę, że to ten przypadek. Miesiąc słuchania, a potem trzy dni spinki, żeby napisać coś od siebie o tej płycie, i nic. Są po prostu albumy będące czymś więcej niż suma ich elementów. *Z Modą na sukces* jest dokładnie na odwrót.

Piotr KOWALCZYK



Spoon *Transference* Anti 2010

Kolejny killer

Spoon cieszy się dziś uznaniem, jakim dekadę temu obdarzano Pavement (dziś mogą się znów spotkać na jednej scenie). Jego twórczość ma zresztą sporo wspólnego z grupą Stephena Malkmusa. Piosenki z rytmicznym akompaniamentem gitary, basu i perkusji (co jakiś czas też pianina). Niby zwykle. Niby podobne do siebie. Bez wyraźnej ewolucji z płyty na płytę. A jednak na *Transference* czekano w wielu domach. Zapowiadała go udana epka *Got Nuffin*. Album bez wsparcia marketingowego wielkiej wytwórni z miejsca wskoczył do pierwszej trójki „Billboardu”. I jak zwykle nie ma się czego czepić. Britt Daniel przygotował kolejnych dwanaście nośnych kompozycji (na ostatnią z nich: *Mean Red Spider* trzeba trochę poczekać i nie ma jej na trackliście). Album zaczyna się pół akustyczną balladą. Na wysokości trzeciego kawałka *The Mystery Zone* mamy już wszystko, za co kochamy Spoon – rockowy dynamizm i popowe (be-atlesowskie) harmonie. Niektóre tematy urywają się nagle, jakby grupa chciała zepsuć radiowy przebój. Ale w przypadku Spoon zabójcze melodie i chwytliwe motywy występują w stanie wolnym i naturalnym. Singlowy *Written In Reverse* oddziela od *I Saw The Light* tylko chwila szczerego śmiechu. To muzyka melodyjnych pasaży basu, warczącej gitary lub wesolo pacanego paluchami pianina. To piosenki zaśpiewane bez popisów i rockowego mizdrzenia. Takie kawałki podobałyby się Cobainowi, gdyby nie miał problemu z przekładaniem ich na wzrost własnej popularności. Takie numery potrafi pisać też Frank Black. Tyle że Britt Daniel pisze głównie o miłości i innych uczuciach od dziewczyn. *Może to być nawet kolysanka (Goodnight Laura) czy wspomnienie pierwszej miłości poznanej w supermarketach (Is Love Forever?)*. Nigdy nie popada jednak w banał. Jego teksty są podobne do muzyki. Wydają się zwyczajne, takie na kilka klepnięć w klawiaturę i już. Ale efekt jest niezmiernie świetny. Spoon nagrywa systematycznie co dwa-trzy lata nowe płyty i jak dotąd nie zaliczył żadnej skuchy. W Polsce ma swoje grono wyznawców, którzy muszą przeczesać zachodnie sklepy w celu skompletowania pełnej dyskografii (na krajowym rynku dostępne są od biedoty tylko trzy ich ostatnie płyty). *Transference* nie zmieni tego stanu rzeczy. Znów ukocha go zaufane grono tych, którzy załapali się na urok któregoś z wcześniejszych dzieł amerykańskiego kwartetu. I trochę pluję sobie w brodę, że nie potrafię w tej recenzji napisać niczego, co porwałoby za Spoonem przynajmniej tyłu fanów, ilu ma takie Pixies. Fenomen tej grupy trudno opisać. A polski rynek nie sposób zrozumieć.

Marek SIEPRAWSKI